



Marcin Jankiewicz

Sygnatura notacji: N1396

Data urodzenia: 12.03.1945 r.

Data nagrania: 22.10.2019 r.

Miejsce nagrania: Sanktuarium Matki Bożej Latyczowskiej, Latyczów, Ukraina

Prowadząca/y rozmowę: Tomasz Sikorski

Czas nagrania: 69 min.

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Marcin Jankiewicz: Proszę państwa, tak, ja nazywam się Marcin Grzegorz Jankiewicz. Jestem prezbiterem archidiecezji lubelskiej. Jak widać na załączonym obrazku, od lat już emeryt. Pochodzę z rodziny inteligentnej. Mój ojciec był inżynierem. Moja matka była nauczycielką. Zastanawiając się nad moim powołaniem wschodnim, to jest powołanie w powołaniu, jak bez mała 30 lat, od wiosny, od marca 1990 roku. Sobie przypominałem pewne nawet takie elementy składowe, które być może zapadły w podświadomość i miały wpływ na mój wybór. Bo to był mój wybór, chciałem pojechać na wschód. Otóż moi dziadkowie żyli w dzisiejszej Ukrainie. Wtedy było cesarstwo, imperium rosyjskie. Dziadek był „żelazno-dorożnikiem”, czyli był w służbie. I pracował na przykład w Sumach, w Moskwie. Moja mamusia urodzona w 1907 roku, dobrze pamięta też i pobyt w Sumach, a potem w Antoninach, właściwie koło Antonin, gdzie dziadek z kolei jakiś miał taki epizod pracy u hrabiego Potockiego. Wspaniała stadnina, sławna stadnina chyba na całą Europę w Antoninach. Tam dziadkowie moi przeżywali rewolucję. Moja mama potrafiła opowiadać o bolszewikach tak, jak gdyby się rozstała z nimi tydzień temu. W świadomości 9-, 10-letniego dziecka zapadły różnego rodzaju obrazy, włącznie z umundurowaniem, z dialogami całymi, które prowadzili... prowadziła moja babcia, broniąc się chociażby przed grabieżą ze strony półdzikich tych sowieckich bojowników. Być może to mnie jakoś tak zainteresowało. Następnym źródłem moich pewnie tych pragnień wyjazdu na wschód były takie relacje z księdzem wikariuszem w parafii, gdzie ja byłem ministrantem, a ten człowiek pochodził z Kresów, z terenów obecnej Białorusi i mówił: „Marcin, słuchaj, jak się Rosja otworzy na misję, iluż będzie księży potrzebne, ty idź do seminarium, zostań księdzem. Sobie pomyślałem, na szczęście nie powiedziałem: „Ty naiwniaku, Rosja i się otworzy na religię”. Ale to też myślę, że jakiś miało na mnie wpływ. Dalej jako student, jako kleryk, potem jako ksiądz, bardzo lubiłem jeździć w Beskid Niski, w Bieszczady, więc i klimat tych cerkiewek w większości zaniedbanych, zrujnowanych takich,

wywarł na mnie też, myślę, wpływ wyraźny. Aha i jeszcze coś. Po latach ktoś mi powiedział: „Przecież pamiętam, jak kupowałeś jeszcze w latach 80. szaty liturgiczne, że się przydadzą na wschód”. A ja o tym zapomniałem. I rzeczywiście, kiedy już zaczęło się likwidować, że tak powiem, proboszczowskie gospodarstwo w Polsce, to znalazłem te ornaty różne i utensylia kościelne, które się potem bardzo przydały mi na wschodzie. To wystarczy, prawda? Ten wątek zamykamy? Zamykamy. Chciałem jechać na wschód, ale wtedy był przełom lat 80. i 90. Trzeba było mieć wtedy zaproszenie i zgodę swojego biskupa. Zwróciłem się do biskupa Bolesława Pylaka, a on cmoknął tak charakterystycznie i mówi: „Ty nie masz zdrowia. Wrócisz po trzech miesiącach chory i co ja z tobą zrobię”. „No to nie.”, mówię. Mi się nie pali grunt pod nogami, nie trzeba. Wreszcie dostałem jakieś zaproszenie ze Żmerynki od młodego księdza Mikołaja, pamiętam. I pojechałem tam, to była wiosna 1990 roku, pojechałem na Wielki Post i na Wielkanoc, i się ugruntowałem w tym. Ale musiałem wrócić, jeszcze byłem proboszczem w Polsce, w lubelskiej diecezji. Pamiętam taką sytuację, skoro biskup mój się nie zgadza, to się nie zgadza. Ale w pewnym momencie, że w roku 1990, już lato się zaczęło, spotykamy się z księdzem biskupem na Krakowskim Przedmieściu, obecnym deptaku, a on mówi: „Co ty tu robisz?” „Jak to tutaj?”, „Czemu nie na Ukrainie?”. Mówię: „Ja przecież nie mam zgody”. „Idź do Franka, to ci wypisze”... czyli do kanclerza, „ci wypisze nominację”. „A co z parafią?”. „A to będzie na razie dojeżdżał, to mała parafia, będzie dojeżdżał były proboszcz tam z pobliskiego Krasnego Stawu, to się załatwi, zobaczymy”. Po roku, skoro nie wróciłem chory, nikt mnie nie pytał o to i zostałem tam. Pytano mnie nieraz w Polsce, to wtedy było takie zainteresowanie bardzo żywe, to były początki w ogóle, przede wszystkim jeszcze istniał Sowiecki Sojuz. Wprawdzie, już jak mówili miejscowi: „Gorbaczow gayku otrutil”, śrubę odkręcił trochę Gorbaczow, więc się ludzie modlili za niego, ale jeszcze był sowiecki sojusz formalnie. Pytano mnie: „Co ci najbardziej potrzebne?”. Ja mówię: „Wiecie co, w tej wiosce, gdzie się zatrzymałem, to najbardziej przydatne są gumofilce i biblia po ukraińsku w obrazkach, z obrazkami. Biblia z obrazkami po ukraińsku”. Więc ktoś mi tam 10 egzemplarzy sprezentował, pamiętam. Gumofilce sam sobie kupiłem. Teraz tak, może ja będę mówił o pewnych takich migawkach czy impresjach związanych z polonikami. Tam będzie też i element cierpienia, może niekoniecznie prześladowań typu politycznego. Otóż tą pierwszą parafią, to był poza Żmerynką, bo tam byłem jakoś niecałe dwa miesiące, była wioska Pisarówka. Pisarówka, duża wioska, około tysiąc zabudowań. I przynajmniej połowa to byli katolicy rzymscy, łaćnińscy. I pamiętam, ci ludzie modlili się po polsku, w języku już oczywiście zdeformowanym, ale godnym szacunku ogromnego. Ja tam musiałem obsługiwać kilka jakichś punktów, wiosek, to się do chorych jeździło i tak dalej, a ludzie cierpliwie czekali. Nie było telefonów przecież, to nikogo nie raziło, nie denerwowało, że ksiądz się już spóźnia 15 minut. Proszę, różaniec mówimy, śpiewamy godzinki. W większości to właśnie modlitwy były po polsku zasadniczo wtedy. Zasadniczo po polsku i ludzie cierpliwie czekali. A poza tym jak potrafili słuchać. Ja mówiłem językiem strasznym, tak zwanym surżykiem, polsko-rosyjsko-ukraińskim, a to towarzystwo zasłuchane, zapatrzone, żeby zrozumieć cokolwiek z tego. Więc poza tym pamiętam ten entuzjazm, niesamowity entuzjazm. I ofiarność, ach, tutaj zbereżenia jakieś, czyli jakieś oszczędności babcia ma, ale przecież już to na pogrzeb swój odłożyła, ale jak jest ksiądz, to ją pochowa i za darmo, a to będzie na budowę kościoła. Niezwykły entuzjazm i ofiarność ludzi. Z perspektywy niemal 30 lat, cóż, trzeba powiedzieć z pewną nostalgią, ale też z wdzięcznością, że to pokolenie najstarszych ludzi, ofiarnych i bym powiedział, odważnych niezwykle, odeszło już do Pana Boga. Ufamy, że po nagrodę wieczną. A nie ma automatycznej zastępowalności pokoleń w świątyniach, więc nawet te dzieci przyprowadzane przez babcię niekoniecznie się potem utożsamiały z Kościołem, ale to już może inny wątek. Zamieszkałem u rodziny, pamiętam, Kierepko. To byli już emeryci, Antoni i Maria Kierepko. Oboje Polacy. Z tym, że ona taka może nie w 100% Polka, ale on Polak i patriota. Co było uderzające?

Człowiek, który nigdy nawet nie przekroczył Zbrucza, nigdy nie był w Polsce, mówił ślicznie po polsku. Z takim charakterystycznym zaśpiewem. I modlił się po polsku. Kiedy zaczęło się tam budować kościół, to on się tam zaangażował, wracał późno wieczorem i sądząc, że nikt go nie słyszy, w kuchni głośno się modlił po polsku i ja tych modlitw nigdy nie słyszałam wcześniej. Może nie miałem odwagi, żeby go nagrać, choć nie wiem, czy oficjalnie, czy potajemnie nagrać te modlitwy. Antoni Kierepko. Aha, skąd on, dlaczego on znał język polski. Chodził kilka lat do polskiej szkoły. To jest temat, który można pogłębić sobie z literatury. Marchlewszczyzna co to była, prawda. To były takie autonomiczne jakby okręgi dwa polskie, gdzie usiłowano tych Polaków sowietyzować w sposób taki metodyczny i pogłębiany. A to się nie udało. Ale ten człowiek dzięki temu znał dobrze język polski, czytał, pamiętam, lekcje w kościele, a vista czytał. Z tym zaśpiewem właściwie bezbłędnie. Antoni Kierepko. Ale chciałbym mu poświęcić jeszcze kilka chwil. Mianowicie człowiek głębokiej wiary, bardzo prosty, niewykształcony, był traktorzystą w kołchozie. Również jego czterech synów tam pracowało. A to jest ważne, bo jeszcze wrócę do tego. Antoni nie mówił o sobie, nie chwalił się, ale to wiem od jego żony, od bliskich, od szwagierki, jaki był Antoni. Wiadomo, że w kołchozie płacono nieraz produktami. Pieniędzy nie było akurat, to masz dwa worki ziemniaków, worek ziarna. Rób sobie. I kiedyś żona mówi do Antoniego: „Słuchaj, mąka się kończy, trzeba by to ziarno do młyna zawieźć i na mąkę przerobić”. Więc Antoni wziął „tyleszku”, czyli wózek taki, worek i do młyna. I tutaj się zaczyna taka też historyjka, jaki ten Antoni, który wyrósł w tym środowisku, był nieprzystosowany. Pierwsze pytanie od spotkanego pracownika: „A płaszku majesz?”, flaszkę masz? Nie ma. Nie. Drugi zapytał: „Jest wódka?”. Nie ma wódki. Ktoś jeszcze... Wyśmiali go. Antoni postął, postął, wykręcił się i wrócił do domu. Tego samego dnia wieczorem przychodzi kierownik młyna i mówi: „Antoni, przywieźcie jutro to ziarno. My wam zmielimy za darmo. Bez kolejki”. Co znaczy świadectwo, to, co a propos dzisiaj mówiliśmy, że tutaj jest orka na ugorze, że efektów nie ma, ta praca duszpasterska jest... chwilami zdaje się taka beznadziejna, a mimo wszystko czasem taki punkt świetlisty jest potrzebny. A drugi jeszcze, myślę, bardziej wyrazisty epizod życia Antoniego: Pewnego dnia przyszedł do domu „chołowa kołchospu”, czyli dyrektor kołchozu i partork, czyli pierwszy sekretarz partii. I mówią tak: „Antoni, twój syn został brygadzystą, zdejmuj te ikony ze ściany”. A Antoni popatrzył na tych panów, na ikony, mówi: „Póki ja tu jestem gospodarzem one zostaną na miejscu”. Oni pospuszczali głowy i wyszli. Dzisiaj wydaje się, no, epizodzik. A wtedy to było na granicy bohaterstwa. W głębokim komunizmie, nie? Tak... Żebyśmy nie pomijali kobiet, to jeszcze o Marii powiem słówko, jego żonie. Prosta chadziakka taka, wiejska, spracowana. Kiedyś coś jej pokazuję w gazecie, a ona mówi: „O ja, nie, ta, nie wi, nie”, a ja mówię: „Co, nie widzicie? Duże bukwy”, litery. Mówi: „Ale ja panie... ja nie umiem czytać”. „Bo ja przed wojno do ruskiej szkoły chodziła, dwie klasy skończyła. Potem była wojna, to kto myślał o szkole, a po wojnie to ja była duża, miała 12 lat, to ja poszła do do »kołchospu pracuwały«. Tak, poszła, nikt się nie troszczył, żeby się uczyła dalej. I Maria, kiedy... Aha, i „pracowały”. Na czym ta praca polegała? Nie żadne osiem godzin, proszę państwa. Od świtu do nocy. I Maria mówi, kiedyś z siostrą rok starszą, mówimy sobie, strasznie zmęczone jesteśmy. Jutro niedziela, oj, to sobie trochę pośpimy, odpoczniemy. A tu o 5:00 rano w niedzielę łomot do okna, „Marija Ludmiła padjom. Wstawajcie”. „Co się stało?”. „Przywieźli wagon cementu”. „Wygrużać”. Ja mówię: „Jak, i wy, 15-, 16-letnie dziewczyny szłyście »wygrużać« w niedzielę o 5:00 rano?”. A ona zdziwiona mówi: „A komu żałować? A komu się poskarżysz?”. Tak. Cudowny ten ustrój. Człowiek to brzmi dumnie, nie. Tak, Maria. A potem Maria mówi, jeszcze z mamą, jak żyła, w niedzielę często jeździły do kościoła. A to elektryczkami, z przesiadkami, praktycznie to była cała niedziela zajęta. A bywało tak, że akurat księdza już nie ma, bo jest w więzieniu albo w łagrze. Tak to wyglądało. I jeszcze jedno, 1947 rok to był głód na Ukrainie tak straszny, jak wywołany ten sztucznie przez Stalina w 1932-1933 roku, ale dotkliwy głód. Ponoć nie-

urodzaj. Na Ukrainie, nie? Gdzie ziemia mogłaby wykarmić pół Europy co najmniej, ale w każdym razie nieurodzaj, plus oczywiście gospodarka radziecka i po prostu ludzie głodowali. I mówię, Maria, że sobie kiedyś nasypała do rękawa w pracy półtora kilograma ziarna. Skąd wiadomo, że półtora kilograma? Władza radziecka czuwała i Marię pojmali, wysypali, zważyli, półtora kilograma, aresztowali i dostała pięć lat więzienia za to. Ale „głował kołchozpu”, czyli ten dyrektor, był praktyczny, może humanitarny, ale przede wszystkim dbający o biznes tego kołchozu. I mówię, to już zrozumiał, że to jest absurd, głupota, młoda, pracowita dziewczyna, żeby pięć lat siedziała za to, co. Co zrobił dyrektor kołchozu? Też nielegalnie zarzniętą świnię, narobiono kiełbasy, narobiono bimbru, dyrektor zaprosił kogo trzeba, prokuratora, naczelnika milicji, kogoś tam jeszcze, spił ich, wyposażył jeszcze, wyjęli papier i odpowiednio napisali, i zwolnili ją z tego aresztu. Tak to się ten epizodzik zakończył. To tak...

Tomasz Sikorski: Czy Maria była Polką?

Marcin Jankiewicz: Ona mówiła po polsku, tak. Ja nie jestem pewien. Jej mąż był absolutnym Polakiem, chociaż Kierepko jest nazwiskiem ukraińskim. Natomiast... Ale to ta a propos nazwisk to nie zawsze jest adekwatnie. Rektor seminarium, to już tak później, wybiegam w przyszłość, seminarium w Gródku Podolskim, nazywał się... nazywa się do dziś, jest w tej chwili biskupem nominatem, Aleksander Jazłowiecki. Nie może być piękniejsze nazwisko, Jazłowiecki. Ale on się uważa za Ukraińca, nie? A kiedyś się przyznał, mów tak: „Dzieci mi w szkole dokuczały z powodu nazwiska, a teraz się czuję dumny, że jestem Jazłowiecki”. Dobrze, a to taka dygresja. Więc zamykamy ten epizod Pisarówki. W następnym roku zacząłem dojeżdżać na wschód, jakieś 750 kilometrów dwa razy w miesiącu. Zgromadził nas ksiądz biskup Olszański. A to też na przykład w życiu bym nie sądził, że będę tak dotkliwie odczuwał brak biskupa na Ukrainie, gdy przyjechałem tu, nie było. Wszystkie struktury diecezjalne zamarły. Nie było. A w styczniu 1991 roku nominacje biskupie, a w marcu była chirotonia, czyli święcenia biskupie, tylko w różnych miejscach. Pięciu bodajże nowych biskupów. I nasz biskup kamieńsko-podolski, biskup Jan Olszański zgromadził nas kiedyś, wszystkich księży. Tak wielu było wówczas. I mówi: „Słuchajcie, tu, jak myśmy się zadomowili, już tu się parafie organizują, a ze Wschodu mam tu wieści, że ludzie czekają, katolicy są”. Pustka, nie ma gdzie, nie ma księży. Trzeba by tam jechać, organizować. Ale mówi: „Na razie księży z Polski nie, bo tam są bardzo trudne warunki. Miejscowi księża niech jadą”. I ruszyli miejscowi księża, a po kilku miesiącach jeden z nich mówi: „Wiesz co, może byś pojechał ze mną, bo tam zawsze we dwóch jeździmy, tam jest kilka miast”. No pojedę, jakoś się udało, to pojechałem. To był Dniepropietrowsk, Dnieprodzierżyńsk i Zaporże. Trzy miasta na wschodzie. Dniepropietrowsk to miał wtedy 1 milion 300 tysięcy mieszkańców, Zaporże ponad milion, Dnieprodzierżyńsk tam 250 tysięcy. To już małe miasteczko, można powiedzieć, w porównaniu z tamtymi, ale to było tak. W każdym razie pojechałem tam i co, a następnym razem ten ksiądz mówi: „Wiesz co, sam już pojedź, bo ja nie mogę”. I tam zacząłem jeździć. I biskup mówi: „No to księżo Marcinie, to już proszę tam przenieść się, tam pracować”. I zamieszkałem w Dnieprodzierżyńsku. Czemu? Tam władze oddały kościół. Nasza radość była wielka, choć troszkę naiwna. Sądziliśmy, że to takie szlachetne są motywacje, natomiast tak w rzeczy samej to chodziło o co innego. Ten kościół był zakwalifikowany do wysadzenia w powietrze. Budynek kościelny. Więc katolicy się znaleźli i chcą odzyskać kościół. To im oddamy tę świątynię. Ja tam zamieszkałem w kościele zrujnowanym kompletnie. Tam było pięć różnych firm, które sukcesywnie próbowaliśmy, jak to mówię, wycisnąć stamtąd, mając dokumenty. Ale co to dokumenty są kościoła, jak to jeden z tych szefów się wyraził: „Ten warsztat jest Marcin Eto nieseriozno jawlenie” To niepoważne zjawisko, mówi. To nie, my się tu musimy trzymać, chłopaki. Musimy się

trzymać. To minie. Po starym będzie jak było, prawda. Pewną ilustracją indolencji władz, a zarazem bezczelności tych użytkowników jest taki epizodzik. Przyszedł inkasent, dwóch nawet, od gazu i od elektryczności, i mówi tak, że bym ja wpłynął na tych użytkowników, bo oni nie chcą płacić, że już rok zalegają. Bezsilność kompletna i tak... ale to jest... Może nie chciałbym iść w tym kierunku i mówić, jakie tam były trudności, jakie prymitywne warunki życia i jak głęboko zsovietyzowane społeczeństwo. Chociaż już była niezależna Ukraina. Ale ja bym chciał teraz rzucić kilka takich obrazków. Dnieprodzierżyńsk, tu byłby potrzebny pewien wstęp, ale odsyłam do literatury przedmiotu, do książek Aleksandra Słoniewskiego, między innymi Życie, śmierć... Nie jest tłumaczona na język polski, a ciekawa książka, mówiąca o historii parafii, kościoła w Dnieprodzierżyńsku, aż do współczesnych, dnia niemal dzisiejszego. Ja tylko króciutko powiem, że to była wieś Kamieńsko, czy Kamieńskie. Po polsku mówiono Kamieńskie, Kamieńskoje po rosyjsku, Kamianske po ukraińsku. Jakieś 50 kilometrów od Dniepropietrowska, czyli wówczas Jekaterynosław nad Dnieprem. I w latach 80. XIX wieku powstały ogromne zakłady metalurgiczne. Czyli huta. Wiadomo, że ten przemysł potrzebuje dużo wody. W Dnieprze nie brakuje tego właśnie akurat składnika. Niedaleko na wschód już jest Donbas, zachodni Donbas, 100 kilometrów, więc węgiel się wydobywało, a też około 120 kilometrów Krzywy Róg, gdzie jest ruda żelazna i to zwożono wtedy do Kamieńskoje. Budowniczym i właściwie można powiedzieć założycielem już miasta w tej wiosce i budowniczym, i pierwszym dyrektorem tej Huty był Ignacy Jasiukiewicz. Rosyjski wariant tego nazwiska - Jasiukowicz. Szlachcic, inżynier, człowiek doświadczony w tej gałęzi produkcyjnej. Zresztą ta huta kwitła wręcz, rozwijała się ogromnie. Pan Jasiukiewicz z Polski sprowadził wielu pracowników. To nie tylko kadrę inżynierską, ale też prości robotnicy, przyjeżdżali całymi rodzinami. I według schematyzmu diecezji, teraz polskiej, seusaratowskiej z 1913 roku, wówczas w tym Kamieńskoje było bez mała 7 tysięcy katolików. I to w absolutnej większości to byli Polacy. Tam wymieniono, ile tam Czechów kilku, Niemców. Ale Polacy byli. I tam, można powiedzieć, przy liczbie ludności wówczas, tak jak ja oceniam, maksimum 30 tysięcy. Czyli ten odsetek tej mniejszości narodowej polskiej był bardzo wysoki. I rzeczywiście elita tego miasteczka. Oczywiście przyszła fala aresztowań. To też Aleksander Słoniewski w którejś ze swoich książek o tym pisze. I zdziesiątkowano tę Polonię. Aczkolwiek kilka osób poznałem, które zachowały i swoją polskość, i poczucie godności. Taki na przykład, wspomnę już imiennie, pan Henryk Kuskowski. Urodzony bodajże w 1901 roku, który był taką chodzącą encyklopedią wszystkich wydarzeń różnych epok jeszcze przed I wojną światową. Pracował w tej fabryce jako kreślarz. Pracował niemal 70 lat, już będąc emerytem, a był jeszcze zupełnie w dobrej kondycji, przychodził tak amatorsko czy jako wolontariusz. Pomagał, nawet kreślił coś, czy doradzał. Dyrekcja to tolerowała, czy nawet tak powiedzmy, ciepło przyjmowała. Pan Kuskowski, który mówił ślicznie po polsku, był posiadaczem niezłego księgozbioru, który ocalał pewnie jakimś cudem czy pół-cudem. Ja go odwiedzałem. Tylko on miał głęboki uraz i mówi: „Nie mogę przebaczyć tym komunistom”. Przekleństwem, może w cudzysłowie, dla niego to była pamięć doskonała, nie. I on mógł wyliczać, kto, kiedy został przeskarżony, rozstrzelany, dokąd wysłany, czy wrócił z więzienia czy nie wrócił. On to wszystko wiedział i myślę, że to go ogromnie obarczało. To już z punktu widzenia takiego duszpasterskiego czy księżowskiego, to przed śmiercią poprosił, wypowiadał się, przyjął komunię świętą. Był jednym z najważniejszych gości 100-lecia kościoła. W 1997 roku świętowaliśmy 100-lecie kościoła. Nie był to pierwszy budynek sakralny zbudowany z inicjatywy pana Jasiukiewicza, który był katolikiem. Najpierw cerkiew i kościół dla Niemców wybudował i tak dalej. Ale wtedy to 100-lecie było o tyle ważne, że jakoś przypomniano sobie, że to jest rzeczywiście diaspora, bardzo ciekawa diaspora polska. Dla ludzi z Polski, proszę państwa, to już taka trochę dygresja. A hasło „Lwów”, to brzmi, prawda. „Podole” brzmi, „Wołyń”, wiadomo. A jakiś Dniepro... co? Dnieprodzierżyńsk... Nikt nie wie. A to taka była enklawa polskości. A dlaczego 100-lecie? Zaprosili-

śmy oczywiście władze miejscowe, zaprosiliśmy biskupa, pana ambasadora, był wtedy Jerzy Bar ambasadorem w Kijowie. Był też konsul generalny w świeżo otwartym konsulacie w Charkowie, pan Michał Żurawski. Obaj to już są po tamtej stronie, ci panowie. Z państwem Żurawskimi to ja się przyjaźniłem. Pan ambasador, który mówił ślicznie, miękko tak po rosyjsku, który przy tych miejscowych wszystkich urzędnikach z mentalnością sowiecką jeszcze czy postsowiecką powiedział, że jestem tu w dwojakim charakterze: jako przedstawiciel polskiego rządu, Rzeczypospolitej Polskiej, i jako człowiek wierzący. Szczęki im poopadały wtedy, ale tak. Wtedy podkreślono też, że to są te korzenie polskie. Chociaż ja pamiętam, że się niejednokrotnie musiałem bronić przed takim powiedzeniem „kościół polski”. „Aha, bo ksiądz pracuje w kościele polskim”. Nie. W kościele rzymskokatolickim, który jest dla wszystkich. Kiedy na przykład otrzymałem jakąś pomoc charytatywną to „dla Polonii”, „dla Polaków”. Ja mówię: „To ja nie mogę przyjąć, bo ja nie rozróżniam”. Nawet nie do końca potrafię nawet rozróżnić, gdybym chciał. A po nazwiskach, jak już tu wspominałem, niekoniecznie są kryterium decydującym. Po prostu bieda jest kryterium decydującym. Potrzeby realne ludzi. Ja nie mogę przyjąć. Ktoś powie – tak? To proszę. Oddajemy. Ale z tych epizodów, jak już powiedziałem, spotkałem się z nieufnością władz. Nie zawsze to było wprost powiedziane, bo ja oficjalnie byłem zarejestrowany, miałem pozwolenie na pracę duszpasterską i tak dalej. Ale bywało tak, że jakiś podpity naczelnik SBU czy czegoś tam, komuś ze znajomych swoich, a również moich znajomych czy parafian, powiedział, że: „To znajcie, ten to szpion Watikana tak naprawdę”. Szpieg watykański. Oni tylko udają, że tu coś tak pobożności, a tutaj jest tak. Albo jeden znowu podpity i już do mnie wprost powiedział: „Wy przyjechali” ... po polsku już powiem, „nasze tajemnice technologiczne uzyskać”. Technologiczne tajemnice różne. A tutaj to religia jest przykrywką tylko. Więc ja miałem świadomość tego, że nie jestem dla repolonizacji. Co zresztą, uważam, było nadwrażliwym jakimś elementem i zupełnie nieadekwatnym, nieadekwatnym zarzutem na przykład, że tu jest repolonizacja. Nie było repolonizacji. Ale kto się zwracał po polsku? Była jedna msza święta po polsku. Po ukraińsku prawie nikt nie rozmawiał. Jak ten epizod na przykład, podchodzi... Ja usiłowałem się do kogoś dopasować, a jest jedna służba Boża, trzeba uwzględnić też i Polaków, którzy mówili: „A my cierpieli, my czekali”, nie. My cierpieli, my czekali. I ja grzecznie po polsku, żeby oni... Tylko trzeba było po polsku mówić. Ale kiedyś taki pan Kazimierz, pamiętam, starszy pan, nieco oburzony, mówi: „A ty jest Marcin, wyznajcesz to w naszym kościele wsioda już noprejschodzić na polskom językie”. On, biedaczek, nie mógł tego wyrazić po polsku, ale głęboko pragnął, żeby usłyszeć ten język polski na modlitwie, na mszy świętej. Chodź oczywiście on pamiętał, już tak mówiąc szczerze, chodź zabrzmiało nieco może złośliwie, że on pamiętał mszę łacińską, a nie po polsku. I jeszcze było towarzystwo czy stowarzyszenie Polaków. Bardzo dobrze. I tutaj myślę, że w na przykład w Dnieprodzierżyńsku, gdzie mieszkalem, gdzie zamieszkałem, to były zdrowe relacje. Macie tutaj do dyspozycji jakieś pomieszczenie, salkę, ja mogę ogłosić, że jest spotkanie Polaków, ale musicie mieć poczucie pewnej autonomii i również parafia jest rzymskokatolicka dla wszystkich. I tyle. Podobnie było w Dniepropietrowsku, chociaż tam jakoś usiłowano bardziej to skojarzyć, parafię z tym towarzystwem polskim. To musiałem się troszeczkę zdystansować od tego. Natomiast po paru latach zauważyłem ze zdziwieniem, że ministranci starsi i trochę takich, tak nazwijmy to, okołokościelnych dziewczyn, rozmawiają po polsku. Nie mają żadnych tak zwanych korzeni polskich. Dlaczego? Prawda, bibliotekę założyłem i było sporo książek w języku polskim. Gdzieś spotykali w tym środowisku, gdzieś trochę ten polski język słyszeli, ale myślę, że w jakiś sposób im imponowała polska kultura, historia. Trochę tutaj się otarli i to, że... Dla mnie było to zaskoczenie, ale myślę, że to dobrze, że tak też było. Takie to migawki. Ja przepraszam, zerknę sobie tutaj, żeby za bardzo się nie rozwlekać, bo już pora finalizować przem latza, prawda. Aha, o, właśnie taki troszkę incydent drobny. Pamiętam, przychodzi, wręcz wtargnął kiedyś do kancelarii człowiek w śred-

nim wieku, taki uradowany, jakby odkrył coś i mówi: „A ty jest Marcin. Stoicie w principie. To ja katolik, bo moja babuszka była Polaczka”. Też to utożsamienie, prawda. Polak, skoro była babcia Polką, to on pewnie jest katolikiem, nie. Ale to jest kwestia wyboru tam. Ale jeszcze chcę powiedzieć o pewnym epizodzie, który mnie bardzo zaskoczył i przypuszczam, że to jest mało znany fakt, a jest fakt, bo absolutnie nie posądzam człowieka, który do mnie przyszedł, o jakąś konfabulację czy wręcz kłamstwo. Nie. To było gdzieś połowa lat 90. Wtedy w Polsce jakiś taki był przepis, jakaś ustawa na temat weteranów, byłych żołnierzy różnych formacji polskich, że chodziło o jakąś rentę czy jakieś podniesienie emerytury. I przychodzi do mnie człowiek, i mówi: „Ja byłem w Armii Polskiej”. Aha, rozmawiamy wyłącznie po rosyjsku. „Ja byłem w Armii Polskiej” i opowiada, w jaki sposób. Jest Ukraińcem, powołali go do wojska podczas II wojny światowej jako chłopaka, i mówi tak... dostał przydział do batalionu, to chyba było na poziomie batalionu, jednostka wojskowa, batalion czołgów. I pod Tułą, mówi, szkolenie było. Formowali nas tu i pewnego dnia, jesteśmy już przygotowani, mamy na front jechać, ale pewnego dnia przyjeżdża naczelnik, jakiejś jeszcze wyższej rangi, kilku tam przyjeżdża i mówi tak: „Gwiazdy przemalować trzeba na orły. Tu jest wasz kapelan. Jedźcie na wojnę, ale jesteście włączeni w polską jednostkę”. „To ludzie się nie odzywajcie, się uśmiechajcie”. „Ale nie rozmawiajcie”. I na dowód tego... to dla mnie było na przykład dowodem autentyczności, że on na przykład mówi... Ja mówię: „Jak to kapelan? I co było?”. „No modlitwa była codziennie”. I zaczyna mi recytować „Ojcze Nasz” w wersji zdeformowanej mocno, ale jednak. I w pewnym momencie zaczyna śpiewać „Kiedy ranne wstają zorze”. Też słowa już miał raczej takie bardzo specyficzne, ale z melodii nie zszedł, nie wypadł z tonacji. Ja byłem zaszokowany tym. Jak to możliwe? A ja mówię tak: „A dlaczego to było tak? Po co ta inscenizacja jakaś taka?”. „A bo tak, bo to była tankowa”, cała dywizja chyba. A mówi tak: „Ale chyba dowiria.”, nie było dowieria. Że nie było zaufania do polskiego dowództwa, czy w ogóle polskich żołnierzy. Że pod płaszczykiem polskiej armii, że tak powiem, swoich ludzi dano. A ja mówię: „Dobrze, tylko”... a on się, ten człowiek... w tej chwili nie pamiętam jego już personaliów, ale pomogłem mu napisać, wręcz mu napisałem po polsku podanie w tej sprawie, żeby mu tam przydzielili jakąś rentę, wymieniając czas, miejsca. Więc to wszystko było mocno prawdopodobne. I tak mówi, że najgorzej to Azjaci byli. Azjaci. No jak to, żeby Polaków tam... Po pierwsze mówili na Polaków niepachorzy Azjaci, a poza tym, mówi, nie mogli się nauczyć „Ojcze Nasz” po polsku. Nie mogli się nauczyć „Ojcze Nasz” po polsku. A potem mówi: „Zdobyliśmy takie miasto Chełm. I tak ludzie tu z kwiatami, tutaj nas chcą całować, kobiety i tak dalej. Ale pamiętaliśmy, żeby się tylko uśmiechać. Żeby się nie odzywać do Polaków. Ale byliśmy jako Polacy”. Orzełki, prawda, na czapkach, orzełki na tankach. Tak to wyglądało, taki epizodzik. Epizodzik. I jeszcze może coś takiego smutnego. Wszystko było skontrastowane takie. Odwiedziłem taką starszą już wtedy panią. To jest mniej więcej też połowa lat 90., czy początek lat 90. Nieważne, czy się nazywała Cichocka, czy jakaś inna. I ona mi pokazuje: „Właśnie przysłano mi z archiwum świadectwo śmierci mojego ojca, w 1937 w roku został aresztowany. Tak myśmy naprawdę nie wiedziały z mamą, czy on żyje, co się z nim stało. I nie dostawałyśmy wtedy żadnych odpowiedzi”. A teraz już jest takie zarządzenie, żeby jednak informować obywateli ukraińskich i tam archiwa otwarte, i ma to świadectwo. Został rozstrzelany i rehabilitowany. I siedzimy sobie przy czaju, i rozmawiamy sobie. I potem się coś zgadało o tych czasach minionych, i ona mówi, jak to za Stalina, przy Stalinie było fajnie, jak to było dobrze. Spokojnie się żyło, pensja co miesiąc regularna. Bo przy wolnej Ukrainie, to darze nie wzdumajcie jeszcze wam wierute dziengi zaproszuję miesiąc?. Rozumiecie, nie. Przepraszam, ale może... Tak, niech tak będzie? Bez tłumaczenia, okej. A za Stalina było stabilnie, wszystko przewidywalne i tak dalej. Ja oczy, zaraz, zaraz. Pokazuję ten dokument. A to kto wtedy rządził? Nie Stalin? A z czyjego to było rozkazu? Przecież został rozstrzelany za to, że był Polakiem. Pani ojciec. Nie ma tego skojarzenia. Jak gdyby zupełnie zjawiska

niezwiązane ze sobą. I to taka konstatacja dosyć smutna, prawda. I jak można było wypłynąć na świadomość też ludzi. Ale ponoć szczerze niektórzy przed rozstrzelaniem, nawet bliscy towarzysze Stalina wołali: „Niech żyje Stalin!”. Towarzysz Stalin niech żyje. Zacznę od pytania. Jak mówić, żeby zachować zdrowe proporcje pomiędzy obiektywnymi, nazwijmy to, wydarzeniami, a takim osobistym odbiorem czy już przeżyciem, czyli być może już zbyt subiektywnym nastawieniem do wydarzeń, w których się brało udział. Jak przezwyciężyć też nieuchronność zapominania. Co jest ważne, co nie i co mniej istotne. W każdym razie... No dobrze, przenosimy się w takim razie do innego kraju czy jesteśmy na Ukrainie?

Tomasz Sikorski: Możemy do innego, potem wrócimy.

Marcin Jankiewicz: Dobrze. Tu w rozmowie z panami, z panem Karolem i Tomaszem poruszyłem pewien wątek, polonijny wątek, który istnieje w głębszym, że tak powiem, Związku Radzieckim. Mianowicie, od mniej więcej dziesięciu lat jeżdżę systematycznie do Ałtajskiego Kraju. To jest taka jednostka administracyjna Federacji Rosyjskiej, 161 tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli ponad pół Polski. Wbrew, na przykład moim też stereotypem myślenia i wielu osób, to nie jest jakiś step czy tundra. To jest bardzo urodzajna ziemia. To jest spichlerz Rosji. 161 tysięcy kilometrów kwadratowych. Nawet na tych stepach, bo są stepy też, wypasane jest bydło. W ogóle, można powiedzieć, zaplecze takie agrotechniczne, agrarne. Najczęściej byłem w Barnaule, to jest stolica kraju, mniej więcej 700 tysięcy ludności. Istnieje tam parafia katolicka, rzymskokatolicka. Natomiast więcej bym powiedział o Bijsku, 150 kilometrów mniej więcej od Barnaulu. Miasto Bijsk nad rzeką Bija, założone przez cara Piotra Wielkiego w 1709 roku. To było drugie miasto po założonym przez niego Saint Petersburgu. To miała być taka twierdza już wysunięta na wschód. W tym czasie rzeczywiście to były takie kresy rosyjskie. Było to też miejsce zesłania Polaków w różnych zresztą okresach. Może nie tak sławne jak tereny na przykład Irkucka czy nad Bajkałem tam, ale również. Konkretnie chciałbym powiedzieć o mogile, przepraszam... która się znajduje na cmentarzu miejskim. Można to zrobić? Odblasku nie ma? Przekreślić?

Tomasz Sikorski: Jest dobrze.

Marcin Jankiewicz: Dobrze jest?

Tomasz Sikorski: Mhm.

Marcin Jankiewicz: W mieście, które liczy jakieś 240 tysięcy mieszkańców, nie słyhać języka polskiego, z wyjątkiem może jednego miejsca. Jest to parafia rzymskokatolicka, a ta rzeczywistość katolicka się prezentuje bardzo skromnie, nadzwyczaj skromnie. W jedynej mszy świętej, niedzielnej, uczestniczy około 30 osób. Do parafii przychodzi też grupka młodzieży na naukę języka polskiego, bo jest stowarzyszenie polskie. Ale to akurat w tym przypadku narodowość czy też pochodzenie nie jest wyznacznikiem wyznania. Oni grzeczni są, ale to jest jedyny kontakt akurat z obiektem kościelnym, to są te niedzielne lekcje języka polskiego. Zresztą kontynuowane w określonym celu. Część już wyjechała do Polski na naukę czy do pracy, czy w ogóle w ramach jakichś przesiedleń rodaków, a inni na to czekają. Natomiast na miejscowym cmentarzu, jak większość cmentarzy, ogromnie zaniedbanym, jest grób z tablicą pamiątkową: „Pamięci Polaków, zesłańców i ofiar represji stalinowskich, których prochy spoczywają na Ałtaju”. I tutaj dalej

chyba jest to cytata z Jana Pawła II. „Gdzie są groby, Polsko, gdzie ich nie ma, ty wiesz najlepiej i Bóg wie na niebie”. I ten sam tekst powtórzony w języku rosyjskim. Tak. Jest to mogiła symboliczna, bo rzeczywiście te prochy nie zawsze były... prochy czy szczątki Polaków, uszanowane, pochowane w jakichś zidentyfikowanych miejscach, rozrzucone na Ałtaju. Ałtaju, to chyba też trzeba rozumieć i Kraj Ałtajski, i Republikę Ałtaj. Na południe jest znacznie mniejsza jednostka administracyjna, Republika Ałtajska, gdzie większość mieszkańców stanowią rodowici Ałtajczycy. To taka nacja zbliżona trochę do Kazachów i Mongołów, ale oni się uważają za absolutnie odrębną grupę etniczną. Ale bardzo ciekawe, przede wszystkim tam są góry. Góry Ałtaju, które państwu polecam. Słuchajcie: „łuczsze gor mogut byt tolko gory, Na kotorych jeszczu nie bywał”

Tomasz Sikorski: Na katorych nikto...

Marcin Jankiewicz: A, to potem. Ale „na kotorych jeszczu nie bywał”. Ja nie bywał. To oczywiście śpiewa Wołodia Wysocki. Tak. A w następnej zwrotce jest, czy w następnej frazie: „Na katorych nikto nie bywał”. Trudno powiedzieć, czy tam nikt nie bywa, aczkolwiek ja mam to osobiste doświadczenie, że mogłem wędrować całutki dzień z kompasem, z plecakiem oczywiście odpowiednio wyposażonym, ale bez szlaku, nie spotkawszy tak zwanego żywego ducha, nikogo. Tylko jakieś tam zwierzęta czasem. Cudowne, wspaniałe góry Ałtaju. To jest to. Ale nie ze względu na turystykę sprowadzano Polaków. Obok tego grobu symbolicznego, właściwie można powiedzieć, na jednej takiej działce znajduje się mniejszy nieco postument poświęcony jednemu człowiekowi. Jest to grób... przeczytam: „Władysław Jaruzelski, 1888” ... Tak? Czy jak?

Tomasz Sikorski: Trzeba dotknąć, bo się wygasił.

Marcin Jankiewicz: Ach, tak. Przepraszam. „1888-1942”. 54 lata. Miejscowi Polacy pokazali mi też chatę, tacy, nawet trudno nazwać to domem, chatę, gdzie mieszkała rodzina państwa Jaruzelskich. Gdzie mieszkała rodzina państwa Jaruzelskich. Oczywiście imię Wojciecha Jaruzelskiego jest tam znane i ci Polacy mówili, że raz tylko jeden był na grobie tatusia, i kiedy już sam był na emeryturze. W każdym razie bardzo szanowany przez władze. Przed jego przyjazdem odnowiono tę mogiłę. Zarówno tę symboliczną, jak i Władysława Jaruzelskiego. Ale dobrze, że pozostał ten ślad, który mówi wiele o historii tego miasta. Cóż jeszcze. Aha, na czym polega też tutaj pewien charakter polski? A na tym, że podobnie, jak w innych krajach byłego Związku Sowieckiego, tu też znaczna grupa pracuje polskich księży. Znaczna grupa. Zastępowałem księdza Andrzeja Obuchowskiego, który tam przebył prawie 20 lat. Wrócił do swojej diecezji rodzimej, wrocławskiej, ale też dostał jakieś piętno. Każdy z nas, nawet niechcący, jednak jest reprezentantem jakiejś kultury polskiej, pewnej obyczajowości, prawda? Etosu. To jest nieuniknione. Zresztą też to niekoniecznie ksiądz. Każdy, kto z nas pojedzie na dłużej gdzieś na granicę, jednak niesie w sobie swoją osobistą historię, swój typ wychowania, kultury i tak dalej. I to jest z reguły dosyć atrakcyjne i pociągające. Chcę to powiedzieć bez jakiegokolwiek pychy. Myślę, że każdy z Polaków to ma w sobie. Tym bardziej, jeżeli przyjeżdża się na wschód, na Syberię, to mamy do czynienia w dużej mierze z ludźmi nie tylko prostymi. Z ludźmi, którzy żyją w warunkach bardzo surowych. Surowych, trudnych, że to trzeba było całe życie walczyć o przeżywanie. Zabezpieczyć sobie na długą, długą zimę chociażby opał. Oni, to już widać w lecie, ściągają drewno, rąbią, piłują, robią i tak dalej. Z okna plebanii obserwowałem na przykład okoliczne domy, gdzie w tych ogródkach pieczętowanie uprawiano warzywa, żeby było

swoje, żeby nie trzeba było tego kupować. Poza tym jeszcze taki jeden aspekt, bym powiedział. Jak kiedyś, jako jeszcze młody człowiek, miałem pewien kompleks niższości z powodu zjawiska pijaństwa w Polsce, że czemu to tak jest. Pojechałem na Ukrainę i zobaczyłem, no gorzej jeszcze jest. Oczywiście to nie w kategoriach pociechy jakiejś. A oni mówią: „A ty jest Marcin, nie przeżywajcie”, w Rosji jeszcze gorzej. I rzeczywiście ja się z tym zetknąłem. To była taka najprostsza ucieczka od rzeczywistości, żeby zapomnieć, żeby... Zwłaszcza dla psychiki męskiej to jest ważne, żeby mieć satysfakcję z pracy, z jakiegoś sukcesu. A o to było trudno. Więc najprostsza ucieczka od rzeczywistości to jest wódka. Zresztą przeczytałem kiedyś taki obszerny artykuł, dosyć taki poważny, mądry, gdzie wspomniano, że w okolicach, różnych okolicach, ale właściwie na całym terenie byłego Związku Sowieckiego był taki niepisany przepis czy takie prawo, przyzwolenie, lepiej bym powiedział, że chłopak, który skończył 12 lat miał prawo się upić. Dopiero wtedy miał prawo się upić. Nie wcześniej. Dobrze.

Tomasz Sikorski: Proszę kontynuować.

Marcin Jankiewicz: Czy do parafii należą Polacy? Też, tak. Ja pamiętam taką panią Wiktorię, która jako chyba sześciolatnia dziewczynka, w 1939 roku albo na początku 1940 została wysiedlona z terenu obecnej Białorusi. Była, jest Polką. Jej rodzice też są Polakami. I opowiadała, jakie to było ciężkie, jakie to było wszystko upokarzające. Wprawdzie nie byli w łagrze, ale po prostu rzucono ich na pustą ziemię, radźcie sobie jak możecie. Mama musiała ciężko pracować w kołchozie miejscowym. I ta pani, ciekawe, że zapomniała. Jako dziecko oczywiście znała polski język. Najpierw wyłącznie polski język, ale w tych nowych warunkach przestała używać, zwłaszcza po śmierci rodziców i dopiero, gdy się odrodziła parafia rzymskokatolicka, ona to w sposób naprawdę taki jednoznaczny i z ogromną wdzięcznością mówiła, że ona nie tylko jakby ponownie nauczyła się języka polskiego, ale że mogła pojechać z grupą parafian, których ksiądz miejscowy zorganizował, pojechać do Polski. Już była dwukrotnie w Polsce. Nawet odnalazła gdzieś na Białostocczyźnie. Tam już z tego terenu, w Białorusi, ale że mogła krewnych swoich tam odnaleźć. Taka pani Wiktoria. Ci ludzie żyją rozproszeni. Ona ma około 70 kilometrów do kościoła, a lat około już ponad 80. Nie jest to proste. Ale znowu wróć do tego, co mówiłem w poprzedniej części. My jako księża katolicy nie jesteśmy od polonizacji czy repolonizacji społeczeństwa tamtego. To się dokonuje niekiedy, ale jakby przy okazji. Przy okazji. To ja nie mogę się wyrzec swojej polskości, nie potrafię po prostu. I gdzieś jest. A jeżeli ksiądz wzbudza zaufanie, czy też ludzie widzą, że on naprawdę bezinteresownie służy im, jest coś takiego, element taki przyciągający w tym, żeby jakoś bliżej być tego człowieka, jakoś poznać jego życie, poznać też jego kulturę, jego język. I podkreślam to, że nie chodzi o repolonizację. Nie chodzi też o rozdrapywanie ran męczeńskich, które tam były. Bo zresztą myślę, większość ludzi, którzy zostali choćby na Altaju na zawsze, nie zostawiła ani memuarów, pamięć o nich gdzieś się zatarła. Potomkowie się na przykład zrusyfikowali, co było normalnym zjawiskiem. I to przestało interesować.

Marcin Jankiewicz: Aha, proszę państwa. Może taki już pewien wątek ważny i trochę konfliktogenny. Mianowicie w jakich proporcjach, jak, gdzie i kiedy trzymać się języka polskiego w środowiskach tutaj... Nie tyle polonijnych, z punktu widzenia duszpasterskiego. Wspomniałem poprzednim razem, że należy jednak prostować takie powiedzonko czy powiedzenie, że to jest Kościół polski. Polski na Ukrainie, polski Kościół w Rosji. Nie. Kościół rzymskokatolicki. Katolicki, czyli powszechny, czyli otwarty dla wszystkich, uniwersalny. Taki ma być. I trzeba tego strzec bardzo. Bardzo pilnować. Natomiast myślę, że idąc za świętym Pawłem, ksiądz pracujący na obczyźnie, konkretnie polski

ksiądz pracujący w Rosji, na Białorusi, w Ukrainie, gdziekolwiek indziej, idąc za świętym Pawłem, ma być wszystkim dla wszystkich. Dla wszystkich stajemy się wszystkim, prawda. Czyli jeżeli ktoś do mnie się odzywa po polsku, ja mu odpowiadam po polsku. Jeżeli ktoś się spowiada po ukraińsku, spowiadam go po ukraińsku, jeżeli po rosyjsku, proszę bardzo. Kiedyś mnie tak to szarpnęło i to było jeszcze przed inwazją Rosjan, jeszcze Krym był formalnie i w granicach Rosji nie było żadnej wojny w Donbasie. Pewien ksiądz grekokatolicki, a to było na Wschodzie, gdzie się niemal nie używało języka ukraińskiego, on do mnie mówi: „Proszu nes vertatis domene rosyjskojo mowu bo to je mowa okupantich?”. A ja mu na to mówię: „Dobrze, to nie tylko jest mowa Putina. To jest też mowa Puszkina i ludzi świątłych, i bez tego języka kultura ogólnoludzka byłaby znacznie uboższa”. Więc to jest skrajne, to podejście, że tylko język, tylko taki język, prawda, bo tylko po polsku. Czasem nam zarzucają przybysze z Polski, jacyś działacze. I ja się też z tym spotkałem, że my rugujemy język polski. Że zwalczamy polskość, że w kościele... Nawet... O, przypominam sobie. Gdy otwarto nowy konsulat, to było w Charkowie, pan Zdzisław Nowicki. Tak jakoś potem nagle zmarł. W każdym razie niezwykle sympatyczny człowiek, taki myślę, że też związany z Kościołem, miał brata księdza. I pamiętam, urządził spotkania, wspólne spotkania dla działaczy polonijnych i dla duchownych. Z tamtych kilku oblasti wschodnich. Na wschodzie zupełnie, na wschodzie. Właśnie Donieck, Dniepropietrowsk, gdzie ja działałem, Zaporozże i tak dalej. I kilkakrotnie, pamiętam, wypływał problem, niech pan konsul jakoś tak wpłynie, żeby w szerszym zakresie stosowano w liturgii język polski, że za mało tego jest. On tak powiedział zgrabnie, ale myślę, że bardzo mądrze. Proszę państwa, są już na szczęście struktury Kościoła katolickiego, są biskupi i w tej sprawie proszę się do nich zwracać. Ja nie mogę dyktować warunków księżom, jak mają podczas liturgii, jaki język stosować. Ale to świadczy o tym, że jednak było pewne napięcie oczekiwań. Ten polski język, on w sposób, stety czy niestety, nieuchronny, był redukowany poprzez to, że najstarsze pokolenie przywiązane do języka polskiego, modlące się po polsku, odeszło już na drugą stronę życia. I mam na poparcie tutaj pewien przykład inny. Mianowicie, pracowałem jako wychowawca, ojciec duchowny w seminarium katolickim w Gródku Podolskim w latach 2014-2017. I to seminarium funkcjonuje już od jakichś 28 lat pewnie. Założył ksiądz biskup Olszański i w początkowym okresie, trwającym zresztą dobrych kilka lat, wszystkie wykłady były w języku polskim. Wszystkie w języku polskim. Wprawdzie było powiedziane, że kleryk, student ma prawo zdawać w dowolnym języku, jak chce. Po ukraińsku, po rosyjsku, po polsku. Dostępna literatura teologiczna czy teologiczno-filozoficzna była zasadniczo po polsku. Oczywiście można było po niemiecku, po francusku, ale przecież rozumiałe, że dla tych Słowian na pewno łatwiejszy był język polski. Część z nich wyniosła go z domu. Wszystkie wykłady były w języku polskim, podkreślam. A powiedzmy, minęło lat 20 czy dwadzieścia parę lat i ja uczyłem języka polskiego. I dla niektórych chłopców, którzy przyszli do seminarium był to naprawdę obcy język. Śmiesznie na przykład, kiedy próbowali czytać według zasad angielskich. To był alfabet łaciński, a oni z alfabetu łacińskiego znali tylko powiedzmy trochę angielski, więc śmiesznie to, jak czytali, to... Ale to trzeba było ich uczyć tego języka. I trudno mieć pretensje o to. Jeszcze a propos tego, pewna rozmowa z biskupem Majnekiem na Zakarpaciu. Ale to było lat temu ponad 20. Wiozłem jakiś tak zwany gruz. Gruz się mówiło, ładunek z Austrii, pomoc charytatywną. Takim rozklekotanym, starym Volkswagenem, zimą to zresztą było i oczywiście jak zwykle jakieś absurdalne historie na granicy. Nie przepuszczą, bo to, tamto. Mówią mi, że miałem jakieś dokumenty, z Linczu bodajże to było. No nieważne. Ale musiałem prosić o pomoc biskupa, żeby to rozładować. Dwie doby koczowałem. Ale myśmy trochę sobie pogadali. Rozmawialiśmy, uwaga, w jakim języku? Po rosyjsku. Bo biskup Antol, Antoni właściwie, Majnek, on jest chyba Słowakiem urodzonym w Budapeszcie. Na Zakarpaciu by się miejscowi pewnie nie zgodzili na Ukraińca. Ale co on mi powiedział, nie było żadnych... Księgi liturgiczne były tylko węgierskie, po węgiersku i po słowacku. Bo tak de facto

to tacy byli tam parafianie. To był ich język, czy ich języki dostępne, znane. Natomiast, z uśmiechem to wspominam, bo nagle się poskarżył, mówi: „Na tych konferencjach episkopatu to oni gadają tylko po polsku, ja nic nie rozumiem”. Ale ja rozumiem, że dla wszystkich na Ukrainie, niemal dla wszystkich, to było oczywiste, że ksiądz zna język polski. Każdy ksiądz po polsku rozmawia, a tym bardziej biskup. Więc jak biskupi gadają po polsku, to każdy biskup powinien to rozumieć, nie? Ale myślę, że on do tej pory to jakoś tam się też i dogadał, nie wiem, w jakimś innym języku, może już po ukraińsku też. Bo to jednak się rozpowszechnia. Zrozumiałe. I zaczynając, wychowuje się od dzieci. W szkołach jest podstawowy język ukraiński, oficjalny, jedyny język jest ukraiński, więc to tak idzie. Początkowo to może było za ostro i tak kategorycznie postawiono, jak pewien student mi opowiadał w Dniepropietrowsku. A to było... No, kilka lat po tak zwanym usamodzielnieniu się czy odzyskaniu wolności przez Ukrainę. Przychodzi pan profesor, który 40 lat czy trzydzieści parę miał wykłady w języku rosyjskim, w Rosji oczywiście i pyta, asekurując się, pyta w audytorium słuchaczy: „To w jakim języku lekcja ma być czytana.”, czy wykład. „Paruski”. „No, niech będzie po rosyjsku”. Tak to. No przepraszam was. To dygresja taka trochę nie a propos może.

Tomasz Sikorski: Jakby ksiądz był uprzejmy przypomnieć jeszcze raz ten harmonogram...

Marcin Jankiewicz: A właśnie.

Tomasz Sikorski: języków.

Marcin Jankiewicz: Mimo, że język polski ustępuje w sposób naturalny. Może, to słuchajcie, nie wiem, czy to dobra byłaby analogia, że tak jak utraciliśmy Kresy i nie ma co szat rozdzierać. Tak samo język na tych kresach, polski, zanika. Teraz się odradza zupełnie z innego powodu, w Łatyczowie pani katechetka świetnie zna język polski, w sposób metodyczny uczy dzieci i dorosłych, chętnych, którzy mają zamiar pojechać do Polski na dłużej, a może na zawsze. To z tego powodu. Natomiast tutaj trudno. Nie ma co szat rozdzierać. Ale myślę, że jest mądra zasada w seminarium do dziś, w seminarium duchownym w Gródku Podolskim, że modlitwy i liturgia odbywa się w różnych językach. Nie tak, że na jednej mszy świętej używa się czterech czy pięciu języków. To byłoby nadużyciem liturgicznym i myślę, że ze strony, powiedzmy, dydaktyki chyba pomyłką kompletną. Ale tak jest: w poniedziałek po ukraińsku, tak pamiętam to. Modlitwy i msza święta po ukraińsku. We wtorek po polsku, w środę po łacinie, w czwartek po ukraińsku, w piątek po rosyjsku, w sobotę po polsku, a w niedzielę na zmianę: po polsku albo po ukraińsku. I to funkcjonuje całkiem dobrze. I całkiem dobrze. Bo we wszystkich parafiach to się spotka, jeżeli... Nie spotka się już takich, którzy nie rozumieją ukraińskiego, ale są też tacy, dla których pierwszym językiem był język polski i do dziś łatwiej im się spowiadać po polsku. A poza tym dlaczego... chyba to jest zaletą, że się zna więcej języków, nie? Na przykład korzystać można z literatury wówczas. Słuchać radia w nieswoim, powiedzmy, języku rodzimym, ale to jest też pożyteczne i ważne dla rozwoju człowieka, dla rozwoju księdza.